

Być rzymskim obywatelem [FELIETON]

Coraz częściej myślę, że na Unię Europejską muszę spojrzeć oczami Ojców Kościoła, myślowo i praktycznie zmagających się z wyzwaniem pogańskiego uniwersalizmu. Można by rzec, że wypracowali oni swego rodzaju dialektykę podejścia do tego wyzwania – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Niedawne europejskie „orędzie”, ceremonialnie wygłoszone przez szefową Komisji Europejskiej, skłania mnie do uznania przed sobą samym, iż swego czasu musiałem popełnić niebłahy błąd myślowy. I sporo lat w nim trwałem, acz wraz z postępem czasu – przyznaję – z coraz większym wahaniem. Kiedy bowiem przed laty ważyła się kwestia polskiego uczestnictwa w Unii Europejskiej, padał już wtedy, czasem nawet ostro formułowany argument, iż cała struktura politycznych instytucji paneuropejskich zarażona jest wirusem antyreligijnym. Przed referendum 2003 roku słyszałem ów argument na antenie rozgłośni ojca Rydzyka, ale także z ust działaczy narodowych, naonczas dowodzonych przez Giertycha (jak to ludzie się zmieniają!) I z przekonaniem ów argument odrzucałem, jak do dziś dnia zresztą sędzę, nie w jakiś głupio naiwny sposób. Bo zdawałem sobie sprawę z rozpędzającego się trendu antyreligijnego w nowoczesnej Europie i rozumiałem symptomy, które naonczas wystąpiły już w takich katolickich krajach, jak Hiszpania czy Irlandia. Znałem nawet tezy amerykańskiej szkoły religioznawstwa sławnego profesora Casanovy, dowodzącej, że choć w świecie nie ma bynajmniej kryzysu religii, to Europa jest pod tym względem fenomenem odrębnym, skazanym na

tryumfalny nawrót pogaństwa. I poznałem Rocca Buttiglione, o którym wiedziałem, że jest przejęty ideą Europy tak mocno jak jej Ojcowie Założyciele, a mimo to nie może objąć funkcji unijnego komisarza, gdyż otwarcie przyznaje się do chrześcijańskiego „Weltanschauung”. Ta ostatnia historia miała miejsce niemal natychmiast po polskim akcesie do Unii, a ja tłumaczyłem ją sobie jako swoisty „wypadek przy pracy”, wynikający z doraźnej przewagi antyreligijnej lewicy w Parlamencie Europejskim.

*Myślowo przez wiele lat
testowałem polityczną
możliwość technokratycznego
uniwersalizmu, który
względem antyreligijnego
trendu pozostałby obojętny*

Na czym zatem polegał błąd mojego myślenia? Najkrócej mówiąc, sądziłem, że trend trendem, a Unia Unią. Że to są dwie rzeczy oddzielne, a ich pomieszanie

prowadzi do wadliwych konkluzji. Myślowo przez wiele lat testowałem polityczną możliwość technokratycznego uniwersalizmu, który względem antyreligijnego trendu pozostałby obojętny. W takim układzie Unia Europejska odgrywałaby rolę potężnego aktora politycznego, który w toczącym się sporze o religię i kulturę świadomie pozostaje „wielkim nieobecnym”. I znów, zdawałem sobie sprawę, iż takiej odmiany uniwersalizmu w Europie nigdy nie było, a historia naszego kontynentu znała dotąd tylko dwie jego odmiany: agresywnie pogańską (czyli Rzym przedokostantyński) i agresywnie chrześcijańską (czyli Święte Cesarstwo). Czyli, że uniwersalizm, aby w świecie realnym zaistnieć, musiał zawsze dotąd mieć twarz jakiejś religii, ex definitione agresywnej, bo żywiącej uniwersalistyczne aspiracje. Można by rzec, że nie doceniłem wynikającej z „Państwa

Bożego” przestrogi Augustyna, iż „wiara jest granicą wszelkiego społeczeństwa uniwersalnego”. A zatem ideową podporą politycznego uniwersalizmu musi być albo religia, albo anty-religia. Teraz teoretyczna konserwatystka i chadeczką, żona niemieckiego arystokraty i matka siedmiorga dzieci – Ursula von der Leyen w jakimś sensie postawiła mnie do pionu, w swej mowie programowej stawiając na ostrzu noża żądanie uznania antyreligijnej i libertyńskiej wizji rodziny jako normy powszechnie w Europie obowiązującej, opatrzonej rygiem sankcji prawnych. Jeszcze jakiś czas temu coś takiego nie pomieściłoby mi się w głowie. Nie rozumiałbym bowiem, dlaczego obalenie odwiecznych i zarazem prostych, a mających źródło w religii, reguł życia rodzinnego miałyby stać się nagle celem politycznym? I to na dodatek warunkującym powodzenie projektu integracji europejskiej, więc domagającym się czegoś na kształt unijnego ultimatum, opatrzonego politycznymi groźbami.

*Uniwersalizm, aby w świecie
realnym zaistnieć, musiał
zawsze dotąd mieć twarz
jakiejś religii, ex definitione
agresywnej, bo żywiącej
uniwersalistyczne aspiracje*

Teraz coraz częściej
myślę, że na Unię
Europejską muszę
spojrzeć oczami
Ojców Kościoła,
myślowo i
praktycznie
zmagających się z
wyzwaniem

pogańskiego uniwersalizmu. Można by rzec, że wypracowali oni (bo cóż innego mieli robić) swego rodzaju dialektykę podejścia do tego wyzwania. W III wieku Orygenes czy Tertulian w wyrafinowanych myślowo traktatach analizowali takie banalne na pozór kwestie, jak ta, czy chrześcijanin może uczestniczyć w rzymskich widowiskach i spektaklach teatralnych albo jak bez szkody moralnej zadbać o

edukację dzieci w szkole niosącej groźbę demoralizacji. Jestem pewien, że stają się to coraz bardziej nasze problemy, a tamte teksty będą być może wznawiane przez katolickich wydawców z całkiem praktyczną intencją. Co jednak tutaj najistotniejsze, to fakt, iż jednocześnie Ojcowie doceniali polityczną wartość uniwersalistycznego „Pax Romana”. A niektórzy byli nawet skłonni w nim widzieć przejaw Łaski Bożej, która „dla najdalszych narodów stworzyła jedną ojczyznę” (to akurat werset pogańskiego poety), dzięki czemu na świat mogło przyjść Słowo i rozprzestrzenić się, nie hamowane przez żadne granice. Paweł z Tarsu też musiał sobie cenić ów uniwersalizm, skoro dla polepszenia swej sytuacji procesowej z niejaką dumą przypomina, iż jest obywatelem rzymskim i domaga się sądu przysługującego mu według pogańskiego prawa. Ale najciekawszy jest tu znów Augustyn, który wprowadzie żył już w epoce teodozjańskiej, ale musiał myślowo stawić czoła dziedzictwu pogańskiego uniwersalizmu. I doszedł nawet do wniosku, że politycznie mógł on rozkwitnąć całkiem bez chrześcijańskich cnót, gdyż Bóg chciał w ten sposób objawić światu prawdę, iż wiara, nadzieja i miłość nie są konieczne w porządku przyrodzonym, ale tylko w nadprzyrodzonym. Nawiasem mówiąc, przekonująco pokazuje to Gilson (w książce świeżo wydanej przez „TP”), odwołując się do tekstu listu Augustyna, napisanego w 412 roku, czyli dwa lata po splądrowaniu Rzymu przez Alaryka. Zapewne więc życie wewnątrz pogańskiego uniwersalistycznego imperium niesie dla chrześcijanina moralne ryzyko i nastrecza mu poważnych kłopotów. Ale zarazem życie jest tutaj bardziej godziwe, niżli gdziekolwiek indziej. Zaś samo owo imperium, jako twór polityczny, jest chyba ciągle warte obrony.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”